



JARUN

Monika Banaszyńska

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Kruczata

Korekta: Jarosław Lipski

Projekt okładki: Wioletta Rybak

Ilustracje wewnątrz wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/jarunb>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1319-6

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



❖ PROLOG ❖

Jej całe ciało wydawało się tak ciężkie, jakby było wykonane z ołowiu. Ręce, nogi, głowa. Czula, że spada, ale bardzo wolno. Bardzo. Wolno.

Nie widziała przed sobą niczego, a z każdą sekundą po jej klatce piersiowej strach rozlewał się coraz mocniej. Towarzyszyła jej pustka, dziwnie przyjemna, lekka, która kontrastowała z ciężarem jej ciała.

Spadanie nieco przyspieszyło i nagle jej plecy z głośnym pluskiem uderzyły w taflę lodowatej wody. Setki tysięcy igiełek mrozu tańczyły teraz pod jej skórą; miała wrażenie, że pod wpływem zimna wszystko wewnątrz niej skruszyło się w kryształki wielkości ziarenek soli. Zanurzała się, a właściwie opadała na dno. Morza? Chyba tak, morza. Woda była zielonkawogranatowa, a na wargach osiadł jej słony posmak. Była pewna jednak, że to nie łzy.

Płuca ją paliły. Nie mogła złapać oddechu, bo gdy tylko otwierata usta, natychmiast napelniała je lodowata woda. Robiło się ciemniej i zimniej; przestała walczyć. Wciąż nie opadła na samo dno.

Zamknęła oczy. Czekala na moment, aż jej świadomość się wyłączy, aż nadejdzie śmierć. Nie czuła już bólu w klatce piersiowej, poddała mu się tak jak ołowianemu ciału oraz lodowatej wodzie.

Coś jedwabistego owinęło jej prawy nadgarstek, a potem mocno się na nim zacisnęło. Wodorosty? Chciała otworzyć oczy i spojrzeć, co to, ale nie miała już sił. Nagle poczuła szarpnięcie, a to coś uniosło ją do

góry i pociągnęło w kierunku nikłego światła. Przez szybko zmieniające się ciśnienie zapiszczało jej w uszach, podczas gdy głowa rozdzierała wodę. Morska toń pękła niczym bańka mydlana, w twarz uderzył ją wiatr, a mimo pełnych słonej wody płuc zachłysnęła się powietrzem. Wciąż nie miała siły otworzyć oczu, czuła się ociężała. Coś wypchnęło ją na piasek, a ziarenka niemal od razu przykleiły się do włosów i ubrań, oblepiły dłonie, weszły tam, gdzie nigdy nie są mile widziane. Chłodna, morska bryza przetoczyła się nad nią i wywołała dreszcze. Żołądek napełniony wodą zbuntował się, wyrzucając falami swoją zawartość, aż bała się, że się zakrztusi. Jakaś dłoń obróciła ją na bok.

– Coś ty najlepszego zrobiła? – Usłyszała śpiewny, smutny, a jednocześnie zimny głos.

A potem nie było już nic.



❖ ROZDZIAŁ PIERWSZY ❖

15 grudnia 2024

Dzień dobry państwu! Dziś piętnasty grudnia. Izabela Majcher, zapraszam na najnowszy raport meteorologiczny.

Wciąż znajdujemy się pod wpływem wyżu i nic nie wskazuje na to, aby miało się to zmienić w najbliższym czasie. Pas wyżowy rozciąga się od północnych granic Litwy na wschód, mniej więcej do Moskwy, i na południowy wschód do północnych granic Serbii. W związku z tym ciśnienie będzie wysokie. Przewidywana temperatura na północy Polski wyniesie dwadzieścia dziewięć stopni Celsjusza, a na południu dojdzie nawet do trzydziestu dwóch. Górale z Zakopanego narzekają na trwające od maja upały i brak śniegu zapewniającego napływ fanów sportów zimowych. W kolejnych dniach spodziewać się można gwałtownych burz, jednakże temperatura najprawdopodobniej się utrzyma.

Dziękuję i zapraszam na kolejną prognozę w porannym programie.

Krzysztof Grzelak, piętnasty grudnia, witam państwa w najnowszym wydaniu wiadomości.

Ratownicy WOPR-u apelują o rozważę. Anomalia pogodowa nadal się utrzymuje, a to zachęca do korzystania z akwenów. Tylko w tym roku odnotowano rekordową liczbę utonięć sięgającą blisko 9420 ofiar. W zeszłym roku liczba ta wynosiła około 419 ofiar. Jest z nami Angela Tworek, która rozmawiała o tej horrendalnej liczbie z ratownikami WOPR-u z Mikołajem. Angelo, co oprócz pogody może powodować tak drastyczny przyrost utonięć?

– Zdaniem ratowników wody w tym roku są wyjątkowo zdradliwe. Znad brzegów znikają dzieci i dorośli, a przede wszystkim mężczyźni. Wędkarze, trenujący do triathlonu czy pływający łódkami i kajakami nie mogą czuć się bezpiecznie. WOPR ostrzega przed oddalaniem się od brzegów na łodziach, które codziennie się wywracają, co powoduje utonięcia żeglujących na nich ludzi. Ratownicy proszą także o wybieranie strzeżonych i popularnych kąpielisk. Apelujemy do państwa o zachowanie wyjątkowej ostrożności w korzystaniu z akwenów.

Dziękujemy, Angelo. A jeszcze dziś w informacjach...

Ekran telewizora stał się czarny.

Ojciec westchnął z dezaprobatą, a jego krzaczasty wąs się uniośł. Leniwie przekręcił się w fotelu i odłożył pilota na stół. Wiatrak ustawiony w rogu ciasnego salonu akurat obrócił się w jego stronę, owiewając okrągłą, czerwoną i spoconą twarz chłodnym powietrzem.

– Mam dosyć, codziennie to samo w tych wiadomościach. Kaśka, no kto to widział, żeby w grudniu było tak gorąco?! – wysapał zrezygnowany i oburzony Bronisław.

Od zawsze siedział w tym fotelu. To znaczy, tak go zapamiętała Dobrusia. Codziennie wracał z pracy w urzędzie gminy, ściągał koszulę, siadał przed telewizorem i tak egzystował do momentu, aż szedł spać. Bronisław był dobrym i szanowanym urzędnikiem, ale niekoniecznie dobrym ojcem. Przez swoje uzależnienie od fotela i pilota nigdy nie nauczył swojej jedynej córki jeździć na rowerku. Dobrusia nauczyła się sama. Nigdy nie zabrał jej do kina, wesołego miasteczka czy chociażby na wycieczkę do lasu. Nie jeździli na wakacje. Nie chodzili na spacer. Bronisław czuł całkiem spore zadowolenie ze swojej fotelowej egzystencji i nie brał pod uwagę tego, że zarówno jego żona, jak i córka mogłyby chcieć od życia czegoś więcej niż siedzenia z nim przed telewizorem. Zresztą Bronisław sprzeciwiał się wszelkim rodzajom wysiłku fizycznego, zakładającego coś więcej niż dotarcie z mieszkania do samochodu, z samochodu do biura i z powrotem. Był mężczyzną ponad stu pięćdziesięciokilogramowym i każdej chwili, kiedy musiał stać bądź chodzić dłużej niż pięć minut, towarzyszyło posapywanie oraz chrupanie przeciążonych stawów.

Kaśka, żona Bronisława, nie zdecydowała się odpowiedzieć na pytanie męża, gdyż słyszała je codziennie od końca września. Z niewiadomego powodu upały nie ustępowały, ale Kaśce nie chciało się na ten temat już dyskutować. Jak wiele innych rzeczy w życiu przyjęła to za fakt i koniec. Chętnie za to dyskutowała z sąsiadką, która przychodziła na kawę, gdy męża nie było w domu, o innych zjawiskach. Nie tylko pogoda świrowała. Ludzie opowiadali historie o dziwnych stworzeniach napotykanych w różnych miejscach, także w swoich domach. Z początku Dobrusia myślała, że to tylko głupie gadanie wiejskich, zabobonnych bab, ale nie ograniczało się ono do ich małej wsi, gminy czy województwa podlaskiego – a z niego i tak cała Polska regularnie się naigrywała. O takich spotkaniach „trzeciego stopnia” mówiono w ca-

łym kraju, a w popularnych serwisach internetowych kilka razy dziennie pojawiały się na ten temat informacje. Dobrusia sama nie spotkała żadnej dziwnej istoty, stąd założyła, że to albo jakaś chora moda, albo po prostu zbiorowa psychoza. Były przecież takie przypadki w historii, jak na przykład objawienie w Słupicy – na nieco większą skalę – fenomen Hitlera w III Rzeszy. Ale cały kraj, ba, Litwa, Rosja, Białoruś, Ukraina, aż do Serbii? Może ludziom odbija od upału?

Dobrusia nie chciała się nad tym zastanawiać. Wstała z kanapy, pewnie starszej niż ona sama, i przemierzyła salon w kilku krokach, a następnie wyszła na korytarz mieszkania. Włożyła telefon do tylnej kieszeni spodni i wzięła trampki. Rodzice nigdy nie zwracali uwagi na to, kiedy i ile ich córka wychodzi, pod warunkiem, że dobrze się uczy. Dobrawa nie miała żadnych problemów z nauką, a właśnie uczęszczała do drugiej klasy liceum. Przejrzała się szybko w lustrze wiszącym koło drzwi wyjściowych i poprawiła niesforną grzywkę w kolorze pszenicy. Miała wrażenie, że przez te kilka miesięcy upałów na jej twarzy rozkwitło więcej piegów niż zwykle, ale nie przejmowała się tym zbytnio. I tak była piegowata, więc kilka dodatkowych nie robiło jej absolutnie żadnej różnicy.

Mimo że po wieczornym wydaniu wiadomości na zewnątrz wciąż panował gorąc, wołała mieć ze sobą bluzę. Ściągnęła ją z wieszaka i wyszła z domu, a potem zamknęła drzwi. Nie brała ze sobą klucza, gdyż rodzice nigdy nie zamykali mieszkania, nawet na noc. Nie bardzo było co z niego ukraść.

Szybko opuściła trzypiętrowy blok. Dawniej znajdowały się tutaj mieszkania pracowników PGR-u, a po likwidacji kombinatów dziadek Dobrusi, którego nigdy nie poznała, wykupił mieszkanie za grosze. I tak Broniek i Kaśka egzystowali w tej zapomnianej przez Boga wsi na skraju puszczy, a Dobrusia razem z nimi. Wy-

sza z klatki, popchnąwszy wielkie, stare drzwi i ruszyła w kierunku lasu.

Dzieci na placu obrzucały się piaskiem. Jednym przy tej zabawie było nieco weselej, innym mniej, bo to nic miłego dostać piachem po oczach czy wytrzeptywać go z majtek. Matki siedziały na ławkach wokół i gapiły się w telefony, podczas gdy ich urocze pociechy wzniecały burzę piaskową. *Cóż za przemyślane metody wychowawcze.*

Dziewczyna przeszła przez ulicę i skierowała się na „ścieżkę przemyśleń” – tak zwali tę dróżkę mieszkańcy – czyli popularną wśród dzieciaków ze wsi miejscówkę do alkoholizacji. Droga prowadziła dalej, do stawku powstałego z dawnego zakola Narwi, z małą wysepką pośrodku. Latem ci, którzy nie bali się zaplątać w gęste wodorosty i trawy, pokonywali wodę, aby dostać się na wysepkę i rozpalic ognisko. Dobrusia z kolei lubiła przesiadywać tam wieczorami, słuchając skrzeku żab i cykania owadów, będących dla niej niczym muzyka. Odgłosy natury działały na nią kojąco.

Przemierzała „ścieżkę przemyśleń”, próbując nie zwracać uwagi na porażającą liczbę śmieci: głównie puste opakowania po chipsach i innych przekąskach, kartoniki po papierosach czy zużyte prezerwatywy. Puszki i butelki były skrupulatnie wyzbierane, ale to wcale nie pomagało. W zeszłym roku gmina założyła fotopułapki – takie jak na zwierzęta – aby mogły rejestrować śmiejących. Nie służyły jednak długo, gdyż zostały zniszczone, a po kilku kolejnych nieudanych próbach gmina dała sobie spokój.

Delikatny wiatr zakołysał koronami drzew. Dobrusia związała bluzę w pasie; w lesie nie było aż tak gorąco, a puszcza gęstniała z każdym kolejnym metrem. Również ilość śmieci się zmniejszała, bowiem młodzi imprezowicze nie zapuszczali się tak daleko zbyt często.

Starła się nie skupiać na bałaganie doprowadzającym ją do szału, ponieważ nie za wiele mogła sama z nim zrobić. Otarła kropelki potu z czoła i odetchnęła głęboko. Powietrze w lesie okazało się chłodniejsze, ale też nieruchome. Było gorąco, pociła się, ale w piersi czuła dziwną, zimną pustkę. Niemal codzienne wycieczki do lasu pozwalały jej odrobinę się wyciszyć, a dzięki nim próżnia delikatnie malała, jakby obecność natury stała się lekiem na jej dziwne sny. Właściwie sen, jeden, zawsze ten sam – wpada do morza i coś wyciąga ją na brzeg. Albo ktoś. Sen ten pojawił się nagle i zupełnie znikąd. Zazwyczaj jej nocne projekcje były abstrakcyjne i całkowicie pozbawione sensu. Ten wydawał się inny, choć nie potrafiła określić, na czym dokładnie polegała ta różnica. Zadarła głowę do góry. Ostatnie promienie zachodzącego słońca pokrywały liście drzew lekko różowym całunem, a iskierek światła grały na gałęziach. W tym miejscu las pachniał już bardziej jak las, a nie wysypisko, dlatego dziewczyna z lubością wciągnęła powietrze do płuc.

Do jej uszu dobiegał już wieczorny koncert, który tak lubiła, ale zarejestrowała nie tylko ten dźwięk. Śmiech. Ktoś był nad wodą. Szczerze zawiodła się faktem, że dziś nie będzie w samotności słuchać spokojnego rechotania żab ani cykania owadów. To ostatnio jej ulubiona część dnia. Pozwalała jej się wyciszyć, a od kilku miesięcy przebywanie na łonie natury sprawiało jej niesamowitą przyjemność. Czuła się wspaniale w lesie, nie tylko dlatego, że miał kojący wpływ na jej duszę, lecz także dawał jej poczucie siły. *O tak, to jest właściwe określenie.* W lesie czuła się silniejsza. Z westchnieniem przeszła ostatnie kilka metrów i skręciła do stawku. Nad jego brzegiem, na przewróconym pniu, mocząc nogi w wodzie, siedziało kilka osób z czwartej klasy liceum. Janek, Marcel, Kuba i Zuza.

Kuba był dość niski jak na zawodnika drużyny koszykarskiej, ale szybki i zwinny. Raczej przyjaźnie nastawiony, wpatrzony

w Zużę jak w obrazek. Ta z kolei go ignorowała, bo dorównywała mu wzrostem, a Zuza należała do dziewczyn z wymaganiami. Piękność z klasy maturalnej, o czarnych włosach i jasnej cerze, a także idealnej figurze nie widziała w Kubie nikogo więcej poza kolegą, a on widział w niej wszystko. Z kolei jej wzrok i serce zwracały się ku Jankowi, wysokiemu chłopakowi o brązowych, kręconych włosach i ciemnej karnacji, o oczach w kolorze czekolady i spojrzeniu labradora. Marcela z kolei znano jako szkolnego głupka. Wszyscy go lubili, bo był zabawny, w dodatku jego rodzice mieli kasę, więc wszystko puszczano mu płazem. Należał do tego typu osobników, którzy z lubością docinali każdemu, kto nie znajdował się w ich kółku wzajemnej adoracji. W tym, na przykład, Dobrawie.

– O, Tyczka! – zawołał Marcel w jej stronę. – Chodź się z nami pokapać! Masz wystarczająco płaską klatę, żeby robić za deskę! – Chłopak się roześmiał, odchylając na pniu i wzburzając wodę nogami.

– Wał się – odpowiedziała.

Głupkowaty rehot zabrzmiał nad stawem niczym żabi koncert godowy. *Palant*. To nie tak, że nie lubiła czwartoklasistów, o nie. To oni nie lubili jej. Właściwie to nikt jej nie lubił, nie miała koleżanek ani kolegów, nie wspominając już o chłopaku. Była też przyzwyczajona do takich komentarzy na temat swojego wyglądu. Docinki ekipy siedzącej nad zakolem jakoś jej nie ruszały, o ile nie padały z ust jednej osoby. Janek podobał jej się od podstawówki, ale nie łudziła się, że kiedykolwiek na nią spojrzy, skoro codziennie w szkole otaczał go wianuszek dziewcząt tak ładnych i atrakcyjnych jak Zuza. Dobrusia rzuciła na niego kątem oka i już miała ich minąć, by po prostu iść dalej, kiedy wydarzyło się coś, czego nie potrafiła sobie w żaden sposób wyjaśnić.

Marcel wciąż zaśmiewał się ze swojego nieśmiesznego żartu, podczas gdy z wody wynurzyła się dłoń przypominająca żabie

odnoże, złapała za wierzgającą kostkę chłopaka i z niesamowitą siłą pociągnęła Marcela pod taflę stawu tak, że uderzył głową o pień. W powietrze uniosła się mgiełka krwi, a woda się zakotłowała. Janek znieruchomiał, a Dobrawa się zatrzymała. Kuba i Zuza wpadli w stupor, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Druga ręka, która wystrzeliła z wody zbyt szybko, by ktoś mógł to w pełni zarejestrować, jednym sprawnym ruchem wciągnęła czarnowłosą dziewczynę pod wodę.

– Zuza! – krzyknął Kuba, dając nurka pod zielonkawą taflę.

Serce Dobrusi zatrzymało się na jedno uderzenie. *Co to, kurwa, było?!* Nogi miała jak z waty, drżały jej kolana, a mimo to zrobiła parę kroków w kierunku stawku i zatrzymała się w bezpiecznej odległości, obserwując wodę kotłującą się tak, że przypominała garnek z wrzątkiem postawiony na największym palniku. Zielonkawa ciecz chlapała, bulgotała wściekle, czasami na chwilę wyłaniała się z niej jakaś ręka czy stopa. Dobrawa wstrzymała oddech, a załazek paniki zagnieździł się w jej brzuchu. Mimo to starała się nie poddawać paraliżującej hysterii. *Ratuj ich!*, krzyczała w myślach na samą siebie. Musiała szybko zdecydować, co zrobić.

– Wyjdź z wody – powiedziała przytomnie. – Janek, wyłaź z wody!

Chłopak nie drgnął, tylko nadal siedział na pniu, obserwując kotłującą się masę. Widział przyjaciela próbującego walczyć z czymś, co przypominało skrzyżowanie człowieka z ropuchą. Szukał wzrokiem Kuby i Zuzy. Dobrusia czuła, że dla tych pod wodą to może już być koniec, choć trudno było jej się pogodzić z taką myślą. Na drżących nogach podeszła ostrożnie bliżej jeziora i wyciągnęła dłoń do Janka, żeby pomóc mu zejść z drzewa. Złapała go za nadgarstek i mocno ścisnęła. Chłopak odwrócił głowę i spojrzał na nią, blady i przerażony.

W tym samym momencie spod wody wyprysnęła znów zielona zabia dłoń i chwyciła Janka za kostkę. Zaskoczenie i strach, malujące się na jego twarzy, sprawiły, że panika w brzuchu Dobrawy z załazką zmieniła się w prawdziwego olbrzyma. Dziewczyna cicho krzyknęła, gdy stwór pociągnął chłopaka w swoją stronę, i całą siłą nóg zaparła się w piachu. Chwilę siłowała się z podwodnym napastnikiem, ale był od niej dużo silniejszy, w dodatku kolana wciąż drżały jej z przerażenia. Stworzenie szarpnęło nagle i zanurzyło się, pociągając ich za sobą. Zaskoczona poczuła, jak boleśnie uderza w zamuloną wodę, a w jej włosy wplątują się rośliny. Wciąż trzymała nadgarstek szamotającego się chłopaka, ściskając go z całych sił.

Rozwarła powieki i w pierwszej chwili nie widziała nic poza zielonkawą wodą, która szczypała niemiłosiernie w spojówki. Później zobaczyła twarz Marcela, siną, z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami. Jego martwe ciało dryfowało samotnie, podczas gdy uwaga napastnika została przeniesiona na inne obiekty. Zużę, wgniecioną w muliste dno, Kuba próbował odwrócić twarzą do góry. Dobrawie zawsze się zdawało, że stawek w zakolu jest niewielki, a mimo to stwór wciągał ich głębiej i głębiej. Dobrusia nie miała zamiaru mu na to pozwolić. *Muszę walczyć*, pomyślała. Opanowała panikę wypełniającą całe jej ciało i zanurzyła nogi w mule, zaskakując to ropuchowate coś nagłym zatrzymaniem. Zdezorientowane stworzenie gwałtownie się odwróciło, odepchnęło Janka na bok i rzuciło się w jej kierunku. Przez chwilę widziała paskudny pysk w całej okazałości. Przypominał żabę, ale z dwoma rzędami krzywych i wystających zębów jak u piranii. Zamiast włosów miał na głowie długie i oślizgłe wodorosty. Zauważyła też jego jaszczurze ręce i nogi, ohydne i wielkie żółte oczy oraz ropuszą skórę. Za nim wił się ogon. Gdyby nie to, że dziewczyna była w wodzie, a żołądek zamiast jedzenia wypełniał

strach, zwymiotowałyby na widok tej kreatury. Wciąż trzymała rękę chłopaka, więc wygrzebała nogi z mułu, odbiła się od dna i ciągnąc go za sobą, wychynęła na powierzchnię.

– Do brzegu! – wykrzyczała do Janka, ledwo łapiąc wdech.

Zaskoczony chłopak spojrział na nią z wahaniem, oddychając ciężko. W następnej chwili zobaczył, że Kuba wypłynął z Zużą i próbował ją holować. Prędko ruszył w ich stronę, a wtedy potwór złapał Dobrusię za kostkę i szarpnął, ponownie wciągając pod wodę. Nie zdążyła nawet porządnie napełnić płuc powietrzem.

Otworzyła oczy, by zobaczyć, co się dzieje. Dostrzegła, że drugie, pseudożabie odnóże trzymało Kubę, który szarpał się z napastnikiem. Niewiele myśląc, bo i w tej sytuacji nie bardzo był na to czas, okręciła się w jego stronę i rzuciła na monstrum, a potem złapała za obrzydliwe, wodorostowe włosy i pociągnęła z całej siły. Zaskoczony stwór wypuścił jej kostkę. Ogromny pysk rozwarł się w dziwnym skrzeku, a potwór, oszołomiony atakiem, otoczył korpus Kuby obiema oślizgłymi dłońmi. Trzymał go jak w imadle i dusił, co widziała mimo gęstej, zielonkawej wody. Chłopak nie mógł już oddychać, a wielkie żabie łapska zaciskały się na nim coraz ciasniej. Szarpała go z całych sił, czując palący ból w płucach, ale nie chciała odpuścić. Nagle z ust Kuby zaczęła płynąć krew. Stwór musiał zgnieść go tak, że złamane żebra przebiły płuca. Już było po nim. Nie lubiła chłopaka, ale poczuła ciężar osiadający na jej barkach, kiedy zobaczyła, jak umiera.

Włosy stwora musiały być pokryte jakąś parzącą substancją, która działała pod wodą, bowiem Dobrawa poczuła, jak zaczynają piec ją dłonie. Nie miała żadnej innej broni, więc zdesperowana puściła te wodorostowe pasma i wepchnęła kciuk w obrzydliwe, żółte, wielkie oko kreatury. Ta otworzyła pysk, wydając z siebie dziki odgłos, który wzburzył wodę. Potwór zrzucił ją z ramion, a ona wykorzystała chwilę, kiedy oszołomione stworzenie wiło się

z wściekłości, i najszybciej, jak mogła, wypłynęła na powierzchnię. Młóciła zmęczonymi rękami zieloną wodę, aż wreszcie udało jej się wydostać na brzeg. Płuca paliły ją od wysiłku i braku powietrza, bolały ją ręce i nogi. Jeśli kiedykolwiek porównanie „czuć się jak gówno” miało się odnieść do stanu faktycznego, to tak właśnie czuła się Dobrusia. W głowie jej się kręciło, a żołądek skręcał się w zapowiedziach torsji. Ręce miała całe czerwone i poparzone.

Janek siedział przy brzegu i trząsał się w szoku, oddychając ciężko, natomiast Zuza chyba się ocknęła, ale była oszołomiona. Adrenalina buzowała w Dobrawie, a dziewczyna wciąż tkwiła w trybie najwyższej gotowości, jednocześnie walcząc z mdłościami i zawrotami głowy. Podniosła się, zataczając, i podeszła do Janka, by złapać go za ramię i podnieść. Chłopak nie protestował. Rzucił jej jedynie zdziwione spojrzenie, zaskoczony tym, jak sprawnie i z jaką siłą pomogła mu się podnieść. Kiedy on już był w pionie, Dobrusia zebrała Zużę z ziemi, wcisnęła ją Jankowi pod jeden bok, a sama złapała koleżankę z drugiej strony. Woda za nimi zakotłowała się znowu, a oślepiiony na jedno oko żabi stwór wygramolił się na brzeg, skrzecząc przeraźliwie.

Dziewczynę bolało wszystko i czuła się, jakby miała za chwilę paść na trawę i już nie wstać. Mimo to szarpnęła ich za sobą i pokrzykiwaniem zmusiła do biegu. Powinni znaleźć się jak najdalej od stawku.



❖ ROZDZIAŁ DRUGI ❖

Nie wiedział, jak długo biegli ani ile kilometrów mieli za sobą. Janek nie dawał już rady – mimo doskonałej w jego mniemaniu kondycji. Bolały go nie tylko wszystkie mięśnie, lecz także płuca, w dodatku trząśł się w szoku i prawie niósł Zuzę. Ze zmęczenia pojawiły się mu przed oczami mroczki, nogi zaczęły się plątać, a każdy centymetr jego ciała wołał o odpoczynek. Bór zgęstniał, przedzierali się więc przez nieprzyjazne chaszczce, które szarpały jego ubrania i skórę, uderzały twarz i plątały włosy. Zuza ciążyła mu pod ramieniem – wciąż nie miała siły biec samodzielnie, a może nadal była w takim szoku, że nie rozumiała, że musi biec. Dobrusia wlokła ją wręcz, choć sama padała ze zmęczenia. W lesie zrobiło się ciemno, ale Janek nie wiedział, czy biegli tak długo, że zapadła już noc, czy drzewa zasłoniły ostatnie wieczorne promienie słońca. Gdy wypadli na niewielką polankę, zatrzymał się, gwałtownie puszczając Zuzę, która opadła jak szmaciana lalka w trawę i pociągnęła za sobą Dobrawę.

– Dosyć, dalej nie dam rady – wysapał, siadając na ziemi. – Poza tym ciemno jest jak w dupie, skąd wiesz, czy dobrze biegniemy?

– Skąd wiesz, jak jest w dupie? – wypaliła do niego Dobrawa, próbując złapać oddech. Usiłowała się podnieść po nagłym i bole-

snym upadku. Pokręciła głową i uniosła wzrok na chłopaka. – Nie powinniśmy zatrzymywać się na polanie.

– A to dlaczego? No dalej, pani mądralińska, oświeć mnie! Przed chwilą zginęło dwóch moich przyjaciół! – Uderzył pięścią w ziemię.

– Ale Zuza żyje – odparła cicho, zerkając na ciemnowłosą dziewczynę, której udało się unieść na klęczki. – Skoro tam nie było bezpiecznie, tu też nie jest. Nie wiem, gdzie jesteśmy, zdaje się, że uciekliśmy w przeciwną stronę do wsi.

W miarę jak jego oddech się uspokajał, zaczynało do niego docierać, co się wydarzyło. Marcel. Był z Marcelem nad stawkiem. Był też Kuba. Gadali o niczym, chwilę o zbliżającej się przerwie świątecznej i o tym, jakie dziwne będą święta z upałem, trochę jak w Australii. Wspominali coś o prezentach pod choinkę, o ocenach na półrocze i śmiali się z kolegów i koleżanek ze szkolnej ławy. A potem przyszła Dobrawa, Marcel z niej zakpił i coś wciągnęło go pod wodę. Widział go tam. Siniego, z otwartymi z przerażenia oczami. Martwego. Zużę i Kubę też. To coś próbowało utopić i Janka, ale udało mu się wyjść z wody. Dzięki niej. Rzuciła mu się na pomoc, uratowała jego i Zużę.

Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że rzeczywiście musieli w panice udać się w kierunku przeciwnym do wsi, bo nigdy wcześniej nie widział tej polany na oczy. Szarzało z każdą chwilą, powoli spowijał ich mrok. Janek miał wrażenie, że za moment całe jego ciało rozpadnie się na kawałki. Zamknął oczy, marząc, że gdy je otworzy, to wszystko okaże się tylko złym snem. Tak się jednak nie stało. Gdy rozwarł powieki, dostrzegł, że dziewczyna czegoś szuka. Wstała i poklepując spodnie, rozglądała się wkoło miejsca, w którym przed chwilą siedziała. Coś mówiła pod nosem, ale wciąż szumiało mu w głowie i nie słyszał, czy rzeczywiście szeptała, czy tylko mu się zdawało.

– Zgubiłam telefon – powiedziała nagle – i bluzę. Masz telefon? Pogrzebał w kieszeni. Znalazł urządzenie i je wyjął. Zerknął na ekran. Ciemność. Próbował włączyć, ale się nie udało.

– Zalany.

Dobrawa, wdychając, chwyciła się jedną ręką pod bok, a przy drugiej dłoni zaczęła delikatnie obgryzać skórki wokół paznokci. Spojrzała na leżącą w trawie Zużę. Nawet jeśli nie zgubiła telefonu, to i tak był zalany i beużyteczny, poza tym dziewczyna dalej nie kontaktowała.

W lesie robiło się coraz ciemniej i Janek ledwo widział już dziewczyny. Podciągnął nogi pod brodę, czując chłód wieczornego powietrza i wciąż wilgotnej odzieży przylegającej do jego ciała. A może to był szok? Cały drżał. Pomyślał znów o Marcelu i Kubie, do jego oczu napłynęły łzy. Nie bał się, że koleżanki zobaczą, że płacze. Zapadł zmrok, więc – chcąc nie chcąc – i tak nie zauważyłyby tych kilku kropeł na jego policzkach. Zrobiło mu się niedobrze, a jednocześnie był wściekły. Nie rozumiał zdarzeń tego wieczora, nie potrafił poskładać w głowie tych zaledwie kilkudziesięciu sekund, które odmieniły wszystko. Ku jego zaskoczeniu Dobrawa usiadła przy nim i zaczęła cicho nucić jakąś melodię, a potem ujęła jego dłoń i mocno ścisnęła. Wsłuchał się w jej głos i pozwolił, by go to uspokoiło. Najwyraźniej sama też tego potrzebowała. Jej szczupłe palce okazały się lodowate, ale po chwili jedna dłoń ogrzała drugą. Skóra Dobrawy była miękka i delikatna. Janek odwrócił głowę w kierunku dziewczyny, ale w tych ciemnościach niczego nie widział. Choć tak szczerze mówiąc, wcale nie musiał jej widzieć. Znał Dobrawę od dawna – dwa lata młodsza od niego, pochodzili z tej samej wsi. Do tej kościstej dziewczynki, która była wyższa niż większość swoich rówieśniczek, już w przedszkolu przyłgnęło przezwisko Tyczka. Nie interesował się nią za bardzo jako dzieciak, bo miał pełno innych kolegów i koleżanek. Jego

rodzice pracowali w Niemczech, więc zawsze był tym popularnym, w markowych ubraniach i z najnowszymi gadżetami. Kiedy poszedł do podstawówki, nie zwracał uwagi na samotne dziewczę z pszenicznymi warkoczykami i nosem upstrzonym piegami, patrzące na świat przepastnymi oczami, których kolor przypominał sos karmelowy z płatkami złota. Po przejściu do liceum w mieście stracił ją z oczu, ale kiedy dwa lata temu wsiadła do autobusu komunikacji podmiejskiej, którym jeździł do szkoły, zobaczył inną Dobrawę. Owszem, dalej cichą, odsuniętą od reszty, z nosem w książkach – tu nie zaszła żadna zmiana. Ale nie była już Tyczką, tylko szczupłą i wysoką dziewczyną z szerszymi biodrami, wąską talią i drobnym biustem. Dziewczyną z włosami jak kłosa, wysokimi kośćmi policzkowymi zdobionymi posypką z piegów i małymi, pełnymi ustami, przywodzącymi na myśl Betty Boop. Nigdy nikomu, a szczególnie kolegom, nie powiedział, że uważa Dobrusię za śliczną. Ona stanowiła przedmiot kpiny od dziecka, a on nie chciał, aby i z niego żartowano. Nie zwracając na nią uwagi znajomych, trochę ją chronił, choć nie udało mu się to całkowicie. Niezwykle mądra, ale wyalienowana dziewczyna już była doskonałym celem plotek i podśmiewań. Sam często przyłączał się do tych docinków i żartów, żeby nie odstawać od kumpli. Dziwnie się czuł, trzymając teraz jej dłoń, kruchą i jedwabistą. Zuza zdążyła trochę wrócić do żywych i zdawało się, że usiadła, jednak powietrze, gęste, czarne, nie pozwalało określić, czy naprawdę siedzi, czy to złudzenie. Nagle Dobrawa spięła się i puściła jego dłoń. Zesztywniała, co przywiodło mu na myśl psa, który wyczuł coś niepokojącego. Jakby czytając mu w myślach, nagle wyszeptła:

– Musimy się stąd wynosić, coś jest nie tak.

Wtedy do jego uszu dotarł szelest liści i chrzęst pękających, suchych gałązek – odgłosy kroków. Janek napiął się jak struna i wszedł w stan pełnej gotowości. Badając okolicę dłońmi, znalazł

się przed nadal nieco oszołomioną Zuzą, w razie gdyby miał ją chronić przed ewentualnym zagrożeniem. Wstał i przybrał pozę bojową, a Dobrusia poszła w jego ślady. Chyba, nie potrafił powiedzieć, czy na pewno. Wówczas naprzeciwko nich pomiędzy drzewami zajaśniała delikatna poświata, która zaczęła się powoli zbliżać. Usłyszeli także śpiew, na początku subtelny, a potem coraz głośniejszy. Po chwili na polankę wyszło sześć postaci, teraz już znacznie wyraźniejszych. Były to niewysokie dziewczęta ubrane w białe tuniki, z wiankami w jasnych włosach. Śpiewały jakąś melodię, której Janek ani nie znał, ani nawet nie kojarzył, a która brzmiała wesoło. Poczuł lekkie uderzenie w tors, gdy Dobrawa zacisnęła dłoń na jego koszulce i pociągnęła go do tyłu. Zachwiał się i potykając o Zuzę, upadł z cichym okrzykiem zaskoczenia. Zjawy zwróciły ku niemu swoje jasne głowy i przestały śpiewać, a wtedy Janek zerwał się na równe nogi.

– Zatańcz z nami, piękny chłopcze – powiedziały do niego postaci. Ich głos brzmiał tak, jakby dobiegał zza jakiejś zasłony albo z dna studni. – Zatańcz i zostań z nami na zawsze!

Zbliżyły się do chłopaka, chichocząc uroczo, i wyciągnęły do niego dłonie. Ich twarze były piękne, hipnotyzujące. Przyciągały go niczym światło przyciąga ćmę. Pomyślał, że w sumie nie miałby nic przeciwko temu, by trochę pobaraszkować z takimi uroczymi damami. Jednocześnie cały ten stres, ból, szok gdzieś uleciały. Już się nie bał. Już nie.

– Rusz się! – zawołała Dobrawa, znów ciągnąc go za koszulkę. – No rusz się, musimy wiać!

– Nie! – Wyszarpnął się. – Ja idę z nimi!

Otrzeźwiło go nagłe i silne uderzenie w twarz, aż odrzuciło jego głowę. Zachwiał się. Poświata zjaw rozjaśniła trochę okolice, dzięki czemu ujrzał blondynkę stojącą przed nim z przerażoną miną. Na dodatek Dobrawa go popchnęła. Nie upadł jednak,

a gdy zerknął znowu w kierunku pięknych nieznajomych, te nagle się zmieniły. Były przerażające. Ich karykaturalnie rozciągnięty uśmiech ukazywał rząd białych, ostrych zębów. Oczy okazały się kompletnie czarne, a brak nosa sprawiał, że przypominały kościotrupy. Wyglądały tak przerażająco, że Janek od razu odzyskał utracony przed chwilą rezon i skarcił się w duchu. Prawie już otoczyły go kołem, ale blondynka znów pociągnęła go za rękę. Tym razem się nie wyrwał. Złapał Zużę pod pachy, stawiając ją na nogi, a z drugiej strony ujęła ją Dobrusia. Znowu pobiegli w głąb lasu, w całkowite ciemności, słysząc za sobą mrożący krew w żyłach śpiew. Chłopak spojrział jeszcze za siebie na polanę, gdzie zjawy tańczyły swój upiorny taniec.

Przedzierali się przez krzaki do momentu, aż byli pewni, że upiory znalazły się już daleko za nimi, kiedy ani jeden promyk poświaty nie prześwitywał między drzewami. Zatrzymali się gdzieś w zupełnych ciemnościach. Wokół panowała cisza tak głęboka, że Jankowi zdawało się, że las oddycha.

– Myślałam, że to wszystko tylko głupie gadanie i że ludziom odwała od upałów, ale... – zaczęła Tyczka. Stała obok niego. Nie widział jej, ale słyszał jej oddech, za to Zuza osunęła się po jego nodze i usiadła w trawie. – To... To chyba były wiły.

– Że co?! – powiedział zdecydowanie zbyt głośno, bo jego głos poniósł się echem w tej kompletnej ciszy. Trochę skręcił więc regulator głośności. – Co ty pieprzysz?

– Nie widziałeś tych artykułów albo wiadomości, gdzie ludzie mówili o tym, że widzieli jakieś dziwne stworzenia? A te utonięcia? Wcześniej wydawało mi się to absurdalne, ale teraz...

– Dobrusia, przestań pieprzyć! – oburzył się Janek. Po omacku usiadł na ściółce, poprawiając Zużę jak kukłę. Blondynka skrzyżowała nogi i przycupnęła naprzeciw, a przynajmniej takie odniósł wrażenie.

– Nie, to nie jest bez sensu! Znaczy się, kiedyś by było, ale to chyba nie jest wcale aż tak niedorzeczne. – Wzięła głęboki wdech. – To coś, co złapało Marcela i Kubę... To chyba wodnik. Nie jestem pewna, bo swoją fazę fascynacji słowiańskim folklorem przechodziłam bardzo dawno temu.

– Wodnik? Odbiło ci?

– Nie, Janek, pomyśl. Jest grudzień, a w ciągu dnia mamy prawie trzydziestostopniowe upały. Mnóstwo ludzi utonęło w tym roku. W telewizji opowiadają, że widziano dziwne stworzenia. Tam, na zakolu, zaatakował nas wodnik.

– Nie, no ty mówisz poważnie? – zachnął się. *Okej, to było dziwne zwierzę, to coś, co zaatakowało chłopaków, ale jakiś stwór z folkloru? Nie do wiary.*

– Kiedy idzie się tam, gdzie mieszka wodnik, powinno się złożyć mu ofiarę – kontynuowała niewzruszenie. – Jeśli się tego nie zrobi, bywa nieprzyjemny, a gdy jest zły, wciąga pod wodę. Tam, na polanie, pokazały się nam wiły. Tańczyłyby z tobą tak długo, aż umarłbyś z wyczerpania.

Janek zwrócił twarz w stronę dziewczyny. Wściekał się na nią i na całą tę sytuację; nie mógł uwierzyć, że zbierało jej się na takie pieprzenie po tym wszystkim. Mógł dostrzec jej rysy, a to oznaczało, że powoli zbliżał się świt. Dobrusia wydawała się całkiem poważna. Znów zadrżał, było mu zimno. Ona także dygotała. Doskwierało im zmęczenie, oboje byli w szoku. Marcel i Kuba nie żyją, Zuza nie kontaktuje, jakieś kobiety zaatakowały ich w lesie. Znaleźli się w środku boru, w ciemną noc, mokrzy i przerażeni. *Być może Dobrawa się przeziębila, kiedy weszła do stawu, i teraz majaczyła w gorączce? Wiły... Wodnik... Ciekawe, co jeszcze, może diabeł Boruta? Nieprawdopodobne.*

– Chyba powinniśmy się przespać – zaproponował drżącym głosem. – Jesteśmy zmęczeni.

Dziewczyna przytaknęła i pomogła nieprzytomnej koleżance bezpiecznie się położyć, po czym sama ułożyła się na ściółce, ale Janek nie poszedł w ich ślady. Zerknęła na niego pytająco.

– Potrzynam wartę – wyjaśnił. – W razie gdyby jakieś wilki czy coś... Potem mnie zmienisz, okej?

Ponownie kiwnęła głową. Janek usiadł więc wyprostowany, skrzyżował nogi i próbował cokolwiek dostrzec w lesie lub usłyszeć coś w tej przerażającej ciszy. Nie dał rady jednak zbyt długo czuć. Zmęczenie zaczęło opadać na niego niczym koc, dokładnie okrywając każdy centymetr jego ciała. Obrazy w głowie chłopaka nie dawały mu spokoju. Odtwarzały się w kółko jak zacięta płyta – przyjemny wieczór nad stawem z przyjaciółmi, Marcel wciągnięty pod wodę, Kuba, Zuza i on. Kotłująca się brudna woda, Dobrawa uwalniająca go od potwora, wyciąganie nieprzytomnej Zuzy. A potem bieg, wiły i znów bieg. *Wiły?* Jezu, nazwał je tak jak Dobrawa, chyba mu też coś odbija. Myśli szumiały i bulgotały niczym woda z przeklętego stawu, przygotowując go o ból głowy. Kiedy oddechy dziewczyn się wyrównały, on także poczuł, że mimo wszystko jego ciało potrzebuje odpoczynku.

Słońce przebijało się nieśmiało przez gęste korony drzew i raziło ich w oczy. Janek, odrętwiały od snu i zimna, ostrożnie rozprostował mrowiące ramię, które służyło mu za poduszkę tej nocy. Rozmasowując je, aby przywrócić czucie, przyjrzał się dziewczynom. Pszeniczne włosy Dobrawy rozsypały się w nieładzie, a prosta grzywka opadała na czoło. Była trochę za długa, pojedyncze pasma opierały się na brązowych, odrobinę podkreślonych rzęsach. Pięgi na policzkach układały się w nieznanie nikomu konstelacje, bo

nikt nie odważył się ich studiować. Nigdy głośno by się do tego nie przyznał, ale mógłby przyglądać się jej jeszcze dłużej. Zuza spała tak, jak została ułożona. Czarne, lekko falowane kosmyki ułożyły się na trawie, mały nos i wąskie usta trwały nieruchomo. Gdyby nie unosząca się równomiernie klatka piersiowa, do obrazka zabrakłoby tylko szklanej trumny i siedmiu krasnoludków.

Głośny bulgot w jego brzuchu wyrwał go z rozważań nad urodą koleżanek. Podniósł się i otrzepał szorty ze ściółki, która przyczepiła się do jego niedawno jeszcze wilgotnych spodni. Zaczął rozglądać się dookoła, chcąc zorientować się, gdzie się właśnie znajduje. Las był tak gęsty, że nie widział nic poza kolejnymi krzewami i gałęziami. Uniósł głowę i zauważył, że światło słoneczne przebija się jedynie wąskimi szczelinami poprzez rozłożyste korony drzew; mimo grudniowej pory liście pięknie się zieleniły i zwarto pokrywały smukłe gałęzie. Nie budząc towarzyszek, odszedł na kilka kroków i próbował zbadać korę najbliższego drzewa. Pani na jakiejś lekcji przyrody w szkole podstawowej mówiła, że jeśli po jednej stronie drzewa rośnie mech, to tam jest północ. Jeśli pójdą na północ, powinni wrócić nad Narew, a potem już wzdłuż rzeki gdzieś trafią. Na tym pnium jednak nie zauważył ani grama mchu. Obejrzał więc kolejne i kolejne, które otaczały ich pseudoobozowisko. Na żadnym niczego nie widział.

– Mrowisko – mruknął przekonany, że mówi to sam do siebie. – Muszę znaleźć mrowisko!

– A po co ci?

Pytanie padło prawie spod jego nóg. Dobrusia dopiero się rozbudzała i wciąż nie podniosła się ze ściółki. Przeciągnęła się i przetarła oczy. Wyglądała uroczo.

– Próbowałem określić, gdzie jest północ, sprawdzając mech na drzewach, ale na tych tutaj nie ma mchu wcale. Chcę więc znaleźć mrowisko.

– Bo? Mało insektów masz w lesie? – zapytała, otwierając w końcu zaspane oczy.

– Mrówki wychodzą z mrowiska od północnej strony.

Popatrzyła na niego, siadając na ziemi. Wydawała się zaskoczona, a przynajmniej poważnie zadziwiona faktem, że – po pierwsze – jest w środku lasu z Jankiem i niekumatą Zuzą; po drugie – wczorajsze wydarzenia jednak nie były snem; a po trzecie – Janek to nie całkiem taki idiota, jak myślała, i jednak uważał na lekcjach. Chłopak wyciągnął do niej dłoń, a ona ujęła ją i wstała. Też zaczęła się rozglądać dookoła, powtarzając dokładnie te same czynności, co on chwilę temu. Przeczesał włosy dłonią i nagle jego uwagę przykuło coś innego.

– Dobrusia, nie ruszaj się chwilę!

– Co? – zapytała zaskoczona, zatrzymując się. Nie grają przecież w *Raz, dwa, trzy, Baba-Ńaga patrzy!*, nie?

– No czekaj, nie ruszaj się chwilę.

Nasłuchiwał. Najmniejszego szelestu, śpiewu ptaków, czegokolwiek. Tylko miarowy oddech wciąż śpiącej Zuzy został zarejestrowany przez jego słuch. To było bardzo DZIWNIE.

– Słyszysz? – zapytał.

– Co? Nie, nic nie słyszę!

– No właśnie.

Oboje zaczęli nasłuchiwać. Cisza w lesie była porażająca, wręcz ciężka i namacalna. Liście nie szeleściły, poruszane wiatrem, nie bzycały żadne owady, brakowało ptasich treli – bór milczał. Janek poczuł w żołądku nieprzyjemny ucisk, jednak nie potrafił określić, czy spowodował to głód, czy strach. Miał wrażenie, że coś ciasno owija się wokół jego piersi i za chwilę odbierze mu możliwość oddychania.

– Powinniśmy obudzić Zuzkę i iść przed siebie, może dalej uda nam się określić, gdzie jest północ – zaproponowała Dobrusia,

chcąc chyba brzmieć przytomnie, ale i w jej głosie dało się wyczuć strach. – Może akurat weszliśmy w jakąś dolinę czy coś...

– Tak, powinniśmy iść – przytaknął, znów nerwowo przeczesując włosy. – I znaleźć coś do jedzenia. Cokolwiek. I wodę, tak, wodę.

– Dobrze, to zaraz pójdziemy, tylko... Tylko muszę na stronę... No wiesz.

Dziewczyna lekko się zarumieniła, a potem ruszyła w gęstwinę tak, by jej nie widział. Skorzystał z okazji i sam odszedł za potrzebą. Postanowił się jednak nie oddalać za bardzo, bo wszystkie krzaki wokół wyglądały dokładnie tak samo i nie chciał się zgubić. Gdy wrócił na miejsce ich noclegu, Dobrawa też już zdążyła być z powrotem i próbowała się zorientować, co z Zuzą. Zdawało się, że czarnowłosa mogła już iść samodzielnie, ale nie odpowiadała na żadne pytania, a jej spojrzenie było nieprzytomne.

– A tej co? – zapytał, trochę z głupia frant, wszyscy doświadczyli bowiem tego samego.

– Przeżyła szok, a to mogło wywołać u niej jakiś tymczasowy mutyzm... – zastanowiła się Dobrawa. – Czytałam o tym kiedyś. Najważniejsze, że może iść.

– Ciekawe, o czym to nie czytałaś, pani przemądrzała.

Spojrzeni na siebie. Zrobiło mu się trochę głupio, ale ona nie zwróciła na to chyba większej uwagi. Albo to jemu się tak wydawało. Dobrawa pomogła wstać Zuzi i złapała ją za rękę. Postanowiła, że będzie ją prowadzić, żeby ta nie wyrznęła w krzaki, skoro szła nieprzytomnie. Janek ruszył przodem, próbując objąć dowodzenie. W tych wszystkich filmach, gdzie ludzie utknęli w dżungli, tak właśnie bywało. To facet dowodził akcją ratunkowo-surwiwalową. O, jak na przykład w tym serialu, który oglądał na Disney+, gdzie samolot rozbił się na wyspie i doktor Jack niby nie chciał szefować, ale ludzie darzyli go zaufaniem jako lekarza i został

nieoficjalnie przywódcą. Janek miał jednak nadzieję, że w jego przypadku scenariusz nie okaże się tak popapwany jak w serialu.

Przedzierając się przez zarośla, starał się rozglądać jednocześnie za mchem na drzewach i czymś, co nadawałoby się do jedzenia. Szli i szli, a krajobraz wokół nich wcale się nie zmieniał. Cisza dalej wisiała ciężko, a jedynymi odgłosami, jakie słyszeli, były szelest ich kroków i przyspieszone od marszu oddechy. Zdawało im się, że wędrują od dawna. Janek spojrzał w górę, wprost na pojedyncze promienie słońca przebijające się między gałęziami. Nie potrafił jednak oszacować, czy jest przed południem, czy po.

Zatrzymali się, by chwilę odpocząć.

– Mam wrażenie, że chodzimy w kółko – powiedziała nagle Dobrawa. – Odwadniamy się, nie mamy jedzenia, a las... Las wciąż wygląda tak samo.

– I ta cisza – dodał Janek. – Jakbyśmy wpadli w jakiś leśny trójkąt bermudzki. Czy my kiedyś stąd wyjdziemy?

– Nie wiem – wyszeptwała dziewczyna. – Nie mam pojęcia. Zawsze odnajdywałam się w lesie, ale to wygląda jak jakaś iluzja, zły sen. Z gatunku tych, wiesz, kiedy musisz uciekać, ale biegniesz w *slow motion*... Rozumiesz?

– Tak, czuję dokładnie to samo. – Przygryzł wargę i spojrzał na Dobrawę. Doznał nagłego olśnienia, gdy *flashback* z poprzedniego dnia zamajaczył mu przed oczami. – Ej, czy ty mnie czasem nie zdzieliłaś w pysk?!

Zrobiła duże, zdziwione oczy. Posadziła Zużę na ziemi, a następnie sama usiadła, skrzyżowała nogi i przyglądała się Jankowi z przekrzywioną głową. Lekko się uśmiechnęła, widząc jego oburzoną minę. Zakryła usta dłonią i zachichotała.

– No, i to całkiem mocno! – odparła rozbawiona.

– Za co?!

– Nie ma to teraz znaczenia. – Spowaźniała nagle.

- Dobrawa – rzucił jej udawane groźne spojrzenie – mów.
- Nie mogłeś oderwać wzroku od wił, więc... ocuciłam cię.

Chłopak popatrzył z ciekawością na dziewczynę, a ona utkwiała swój wzrok w jego oczach. Jej karmelowożłote tęczęwki rozpląwały się na tle leśnej gęstwiny. Miała w sobie coś, co jednocześnie przyciągało go, ale i przyprawiało o dreszcz, jakąś tajemniczą iskrę. Szybko zbadał piegi na jej twarzy, obrys małych ust. Przyglądając się jej wargom, półświadomie oblizal swoje. Patrzyła na niego poważnie. Chyba na serio zupełnie wierzyła, że to coś, co zaatakowało ich nad stawem, było jakimś słowiańskim stworem? Wodnikiem? Co to w ogóle ten wodnik? A te omamy, co miał na polanie? Wiły? Nigdy o czymś takim nie słyszał. Nie chciało mu się wierzyć w jakieś dziwne potwory. Być może tak sobie tłumaczyła traumę związaną z tym, że na jej oczach umarło dwóch młodych chłopaków?

– Nie obraż się, ale nie wierzę, żeby nas zaatakowały jakieś mityczne potwory. To z pewnością jakaś anomalia związana z tymi upałami, ale nie postaci z bajek.

– Z bajek? – Zerknęła na jego przedramię. – Masz tatuaż z Odysem, czyli mitologia nordycka nie jest ci obca. A gdybyś tak spotkał Fenrira, to co?

– Przecież to też tylko bajania. Mitologia nordycka jest fascynująca, poza tym w to wierzyli wikingowie, najpotężniejsi wojownicy.

– A Słowianie mieli swoje wierzenia, w których występowała cała masa różnych postaci i bóstw. Niestety pewnego dnia tysiąc lat temu przyszedł jakiś kapłan i powiedział, że to wszystko fe, kmieciowe bzdury. – Zadziornie spojrzała mu w oczy, a w jej złotych tęczęwkach błysnęła drapieżna iskra. – W dwudziestym pierwszym wieku, a nie jakimś ciemnym, wodnik wciąga pod wodę i topi twoich przyjaciół, a wiły prawie włączyły cię do swojego śmiertelnego kółka.

– Daj spokój! – rzucił gniewnie. – Ta dyskusja nie ma sensu.

– Ciekawe, czego jeszcze trzeba, żebyś uwierzył, że to nie są zwidy – sarknęła i podniosła się, jednocześnie pomagając wstać Zuzie.

Trzymając ją za rękę, ruszyła przed siebie i od razu przyspieszyła kroku, wyprzedzając chłopaka. Była wyraźnie spięta i obrażona. Janek utkwiał wzrok w plecach koleżanki i podjął dalszy, żmudny marsz. Pewność Dobrawy względem ich obecnego położenia i całej tej sytuacji go konsternowała. A może to on próbował coś wyprzeć? Wydarzenia rozgrywały się zdecydowanie za szybko i nie miał czasu, by je zrozumieć.

Nie wiedzieli, jak długo idą i jak daleka droga przed nimi, ale nie natrafili na nic do jedzenia ani nawet na kałużę z wodą. Gorzej, nie udało im się nawet określić, w jakim kierunku idą, bo las pogrążony w głuchej ciszy zatrzymał się w miejscu jak zaczarowany. I choć dotąd cała trójka raczej nie należała do defetystów, sytuacja zdecydowanie nie była najlepsza.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Gdy słowiańskie potwory ponownie się obudzą, przyjdzie nam walczyć o ocalenie świata

Siedemnastoletnia Dobrawa mieszka z rodzicami w popegeerowskim bloku na skraju puszczy. Czas, w którym ją poznajemy, jest ze wszech miar dziwny – choć to grudzień, nadal panują letnie upały. Zmęczeni nimi ludzie chętnie chłodzą się w lokalnych rzekach i jeziorach, jednak WOPR ostrzega – pływacy topią się jeden po drugim.

W domach i wokół nich obserwowane są dziwne stworzenia...

Jak niemal co dzień, Dobrusia wybiera się na spacer, by w samotności pooddychać świeżym leśnym powietrzem. Przebywanie wśród drzew dodaje jej sił. Tym razem jednak nie jest jej dane spędzić wieczoru tak, jak lubi.

W lesie, nad stawem w zakolu Narwi, bawi się grupa czwartoklasistów. Już ją zauważyli i rozpoczęli grę w dogryzanie młodszej koleżance. Nagle z wody wylania się zielonkawa ręka... Osiemnastolatkiwie po kolei znikają pod wodą. Pod wpływem głosu, który słyszy w swojej głowie, dziewczyna rusza im na ratunek. Udaje jej się ocalić dwoje z czworga.

Odtąd Zuza i Janek będą jej towarzyszyć w niebezpiecznej podróży, na której końcu czeka na Dobrawę prawda o niej samej i... tajemniczy starodawny bóg, zagrażający wszystkiemu, co dziewczyna zna i kocha.

Wciągające romantasy inspirowane mitologią słowiańską!

Pierwszy tom Dylogii Złotej Tarczy

Patroni medialni:



**POLACY
NIE GĘSI**

beyA 16+
beya.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-1319-6



cenę: 4,99 zł